№ 9. Warszawa, dnia 20 Lutego (4 Marca) 1874 r. Rok IX.—Tom X.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60, kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
Ekspedycya główna w księgarni wydawcy Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nwy 7).

W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartal. flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgeberta i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

OD REDAKCYI.

Redakcya Bluszczu chcąc dać matkom naszym dzieło o wychowaniu dzieci na gruntownych zasadach oparte, i wszechstronnie przedmiot ten traktujące—ogłasza

KONKURS

NA OPRACOWANIE DZIEŁA

O WYCHOWANIU MACIERZYŃSKIEM.

Wychowanie macierzyńskie ogarnia tak syna jak i córkę, a w całokształcie swoim trwa od pierwszych niemal chwil życia do dojrzałości umysłowej istoty wychowywanej. Jak najlepiej ma dopełnić zadania? oto zagadnienie, które powinien rozwiązać piszący, wskazując matce zasadnicze środki działania w pracy edukacyjnej.

1) Jak matka ma postępować z dzieckiem od lat najpierwszego dzieciństwa, aby otrzymać wpływ, który jest wychowywaniem? Wykształcalność człowieka i cel wychowania. Jak władza rodzicielska ma się zarysować w pierwszych wyobrażeniach dziecka i stawać się pojęciem w istocie już rozwijającej się umysłowo? W jakich warunkach i na jakiej zasadzie powinno się w wychowaniu gruntować posłuszeństwo: co tu jest obowiązkiem a co prawem dziecka? Jak może być stosowaną i czy powinna być stosowaną kara? Czy nagroda jest potrzebną? Jakim ma być przebieg karności macierzyńskiej w całem trwaniu wychowania? Jaką jest moc siły wychowawczej, gdzie i jakie są jej granice? O idei wychowawczej.

2) Jaki w wychowaniu macierzyńskiem powinien być stosunek działań matki na córkę, a jaki na syna? Wpływ bezpośredni i wpływ pośredni. Miejsce jakie matka powinna zostawić dla wychowawczych działań ojca? Wzajemny stosunek rodziców w pracy edukacyjnej.

3) Formalne działanie wychowania macierzyńskiego i nauka. Jakie względnie do umysłowego kształcenia dziecka są obowiązki matki w czasie poprzedzającym naukę systematyczną? Umysłowe i moralne przygotowanie dziecka do przyjmowania nauki. Matka i nauka elementarna. O postępowaniu w nauce. Nauczanie jako metoda i jako sama nauka. O idei naukowej. Rozbudzanie religijności, myśl o Bogu i nauka religii. Nauka obcych języków. Nauki przyrodnicze w planie naukowym i pedagogicznym. Nauka historyi i umiejętności społecznych. Wykształcenie humanitarne i wykształcenie zawodowe.

4) Co należy rozumieć przez wykształcalność umysłu ludzkiego, ile godzi się ważyć naturalny kierunek zdolności i siłę obdarowań wrodzonych? Jakie trafiają się tu ułudy, a zarazem jakie przeoczenia mogą mieć miejsce? Jakie pod tym względem powinny być prawa indywidualności dziecka, i jak daleko wola rodzicielska ma tu moc rządu i przesądzania przyszłości? O całości istoty ludzkiej i wzajemnem oddziaływaniu na siebie rozmaitych gałęzi wykształcenia, pojęć moralnych, wiedzy naukowej i uzdolnień artystycznych. Moralne prawa i nienaruszalność zasady etycznej dla względów talentu i szczególnego rozwoju umysłu.

5) Matka w obec średniej i wyższej nauki dzieci. Czy matka przez wzgląd na wielorakie swoje obowiązki i zajęcia życiowe, może być na tym już podnioślejszym szczeblu nauczania nauczycielką właściwą? O regularności i porządku w nauce. Jaki jest obowiązek matki współdziałania z pracą nauczycieli i współdziałania z duchem uczącego się dziecka? Jaki jest obowiązek matki co do świadomości tego, czego uczy się dziecko? Różnice jakie tu zachodzą w stosunku matki do córki, a w stosunku matki do syna. Ogólne postawienie się matki względnie do istoty uczącego się dziecka i do osoby nauczyciela czy nauczycielki. O wzajemnym stosunku życiowych poglądów i przekonań matki, a osób nauczających. O harmonii działań edukacyjnych. Jakie jest prawo władzy i nadzoru rodzicielskiego względnie do godności, powagi i samodzielności nauczycielskiej?

6) Jak wychowanie macierzyńskie działać powinno na wyrabianie się charakteru istoty wychowywanej? O moralnej sile charakteru, zawierającej się w woli i uczuciu. Jak wola dziecka może i powinna się rozwijać wśród wpływów wychowujących? Jak uczucie może i powinno być wyrabianem? O posługiwaniu się uczuciem dziecka, jako środkiem pedagogicznym w osiąganiu wpływów wychowujących. O kierowaniu poglądów i gruntowaniu przekonań. O sile przykładu i wpływie otoczenia. O pojęciu obowiązku wprowadzonem w umysł dziecka jako zasada kierująca. Jak matka wywiązać się powinna z wielkiego zadania, kształcąc w dziecku uczucie odpowiedzialności moralnej, sumienia obywatelskiego i obowiązku dla rzeczy publicznych.

7) Dziecko chowa się dla przyszłości, jak więc iść w wychowaniu za prądem pojęć nowych, i jak je stosować w wychowaniu dziecka. O dojrzałości myśli w wychowaniu. Co należy rozumieć przez postęp? Jaką być powinna powaga tradycyi, na czem oparta i do czego wiodąca? Jak w wychowaniu dziewcząt godzi się stosować nową ideę równouprawnienia z mężczyzną? Jak ją postawić względnie do idei rodziny i natury kobiecej, jej zdolności, sił i różnic z naturą istoty męzkiej?

8) Jak wpływy wychowania powinny przeciw ważyć złe wpływy zewnętrzne, działające nieuniknienie na dziecko w postaci tak zwanego świata? Ja-

kim ma być nadzór matki nad czytaniem młodszego i starszego dziecka, i czem w ogóle książka powinna być dla młodego umysłu? Cel czytania, jego korzyści i niebezpieczeństwa, zaprawienie do dobrego czytania. Jaką być powinna rozrywka i zabawa dziecka i ich stosunek do pracy? Wpływ towarzyskości i koleżeństwa. Uczucie troskliwości macierzyńskiej pod tym względem, obowiązek nadzoru rodzicielskiego i prawo swobody ze strony dziecka, przygotowanie go moralne do przyszłego zetknięcia z ludzkością.

9) Jak powinien się urobić moralny stosunek dziecka do rodziny? Uczucie jej węzłów i zobowiązań. Stosunek do sług a pod ich postacią pierwszy stosunek do warstw społeczeństwa niższych—do ludu. Uczucie braterstwa ludzkiego i gruntujące się na niem pojęcie człowieka społecznego. Jak pojęcie to powinno sięgać daleko i godzić się z duchowem prawem osobistości? Czy nie tu i pod jaką postacią powinno wystąpić w dziecku moralne poczucie się do obowiązku pracy niezależnie od potrzeby zarobku. Uszanowanie i miłość pracy. Pojęcie osobistej godności człowieka.

10) Jakiem być powinno stanowisko matki, gdy córka z ukończeniem nauki obowiązkowej, a syn z ukończeniem szkół średnich, staną przed nią jako młódź dojrzałości już blizka, a przecież jeszcze niedojrzała? Jakie modyfikacye powinna wtedy przechodzić władza matki: jak matka ma wtedy pojmować obowiązek posłuszeństwa i uległości dziecinnej, jak stosować prawo rozkazu i prawo rady? Jak pozyskać zaufanie dziecka i na odwrót jak dalece dziecko zaufaniem obdarzać? Przyjaźń ducha matki z duchem dzieci. Uszanowanie się wzajemne i szacunek, niezawisły od oznak zewnętrznych. Formy czci zewnętrznej. Konwencyonalność i lekceważenie. Powaga zasługi i powaga wieku. Młodość jako zapowiedź przyszłości, nadzieja zawiązującego się dopiero ziarna. O ile też przy pracy wychowawczej osobistość matki — rodziców, obowiązaną jest do poświęcenia innych obowiązków i interesów swoich interesowi dziecka. Doniosłość wpływu, jak rozumienie tej rzeczy zarysuje się w umyśle dziecka?

11) Jak ofiara przywiązania rodzicielskiego powinna się posunąć daleko z chwilą, gdy dziecko zupełnie już dojrzałe ma wystąpić w życiu, jako jednostka niezależna od rodziny? Prawo głosu rodzicielskiego przy stanowieniu o przyszłości dziecinnej: wybór stanu, wybór serca przez uczucie miłości i przyjaźni. Jakie być powino pojęcie matki o szczęściu dziecka, i jak daleko idzie obowiązek rodziców czynnego oddziaływania na przyszłość dziecka? Czego z chwilą pełnoletności zupełnej rodzice i dzieci wzajemnie od siebie żądać już tylko mogą, a co pozostaje między niemi na zawsze, jako obowiązek nienaruszony przez czas i okoliczności życia?

Wszystko są to kwestye, które w rozumnie prowadzonem wychowaniu muszą wystąpić przed umysł matki; piszący powinien też zbadać je wszystkie i w dziele swojem rozwiązać. W planie książki, w stosunku do siebie zagadnień postawionych, w poglądach na nie, jest mu zostawiona swoboda nieograniczona, ma on przed sobą dzieło najzupełniej oryginalne; tylko jasność obrobienia i duch etyczny, przenikający książkę — oto warunki położone na szali konkursowej. Potrzeba matkom naszym pomocy działającej zarówno na umysł, jak i na serce, stawiającej im przed oczy w dziele wychowania dziecka wysoki ideał społecznych obowiązków i duchowych przeznaczeń człowieka, który nie samym chlebem żyje. Wierzyć mocno, kochać gorąco, miłość swoją oprzeć na podniosłym pierwowzorze dobra i piękna, nadzieję złączyć religijnie z wiarą w to dobro i piękno — oto, czem książka konkursowa ma w pracy wychowania macierzyńskiego podeprzeć kobietę.

Warunki konkursu:

1) Rękopisma winny być nadesłane najpóźniej do dnia 1 kwietnia 1875 r.

2) Rękopisma nadsyłane oddane zostaną do ocenienia oddzielnemu Komitetowi, złożonemu z osób których nazwiska w dniu zamknięcia konkursu przez pisma publiczne ogłoszonemi będą.

3) Autor dzieła przez Komitet za odpowiednie uznanego, otrzyma od wydawcy Bluszczu summę Rsr. **dwieście**. Własność rękopismu zostaje przy autorze, Redakcya Bluszczu zostawia tylko dla siebie prawo pierwszeństwa do nabycia rzeczonego rękopismu.

4) Paczki zawierające rękopisma winny być opatrzone osobnym znakiem; w oddzielnej zaś kopercie zapieczętowanej, z napisem:

„Do księgarni Michała Glücksberga.

„Na konkurs dzieła *O wychowaniu macierzyńskiem*“ mieścić się winna kartka obejmująca nazwisko autora, oraz znak ten sam, co na paczce zawierającej rękopism.

Adres: Do księgarni *Michała Glücksberga* w Warszawie przy ulicy Krakowskie-Przedmieście w domu JW. Hrabi Krasińskiego Nr 411 (7 nowy).

NAUZIKAA [1]).

Tułacza łódź mała odbiła od brzegu
Spokojnej Feaków krainy;
Hucząca toń morska uniosła ją w biegu
Na wody bezdenne głębiny.
I postać żeglarza, u steru siedząca,
Jak dziwnie samotną się zdała,
Gdy przed nim w bałwany zapadał krąg słońca,
A za nim w mgle ziemia znikała.—
Sam jeden! Pod nogą most drżącej miał deski,
A wichrom dał żagiel rozdęty,
I topiąc wzrok w wielkiej pustyni niebieskiej,
Na morskie się puszczał odmęty.
On wiedział jak straszna i zwodna to droga,
Bez szlaków wytkniętych, bez toru;
Jak zgrozy jest pełnym morskiego gniew boga,
I paszcza wodnego potworu.
A jednak odpływa! Głos który go woła,
Przez burze i wichry nim miota,
I leci przed łodzią z promieniem u czoła
Straconej Itaki tęsknota.
Jak z urwisk nadbrzeżnych ptak morski samotny
Do lotu się nagle podrywa,
Tak w ogniach zachodu na fali migotnej
Żałosny wędrowiec odpływa.
Wiatr pcha go z poświstem, prąd pędzi go dalej,
A w tyle czyż za nim kto płacze?
Któż perły łez swoich chce rzucać do fali,
Co losy unosi tułacze?...
A przecie, gdzie skała w urwisko zwieszona,
Kształt jakiś widnieje niewieści:
Ktoś widać rozpacza, ktoś białe ramiona
W namiętnej wyciąga boleści.
To biedna królewna tej ziemi gościnnej,
Gdzie spoczął wędrowiec zbłąkany:
Miłości bóg strzałą tknął serce niewinnej,
A teraz odjeżdża kochany!
On nie zwiódł jej przecie, nie rzuca zwiedzionej,
Sposobną wykradłszy się porą:
Wiedzała kochając, że inne go strony,
Uczucia go inne zabiorą.
A przecie kochała, bo mężny i śmiały
Stał przed nią w dzielności koronie,
A glorya podwójna nieszczęścia i chwały
Szlachetne wieńczyła mu skronie.
Gdy morskiej otchłani spienione bałwany
Na brzeg go Feacki przyniosły,
I depcząc odważnie grunt ziemi nieznanej,
Ukazał się przed nią wyniosły,
Rzekł smętnie:—Jam tułacz! przez morskie odmęty
Burz tchnieniem zdradliwem pędzony.
Morskiego mnie boga gniew ściga zawzięty,
A szukam mej ziemi zgubionej...
Wnet tkliwość jakowaś przenikła ją rzewna,
I litość wzbudzała się wielka;
Gdy oczy na gościa podniosła królewna,
Z ócz łezki upadła kropelka.
A kiedy wśród sali królewskiej gościny
Wygłosił swe miano i dzieje,
Wyprawę wojenną, rycerskich dzieł czyny,
A potem tułactwa koleje.
Już była mu odtąd jak siostra dla brata,
Którego zawistny los nęka;
Jej sztuką utkana okryła go szata,
Pociechę nieść chciała piosenka.
Lecz niema pociechy na ciężką tesknotę,
Co piersią owładnie tułaczą.
Potargaj królewno warkocze twe złote,
Niech modre twe oczy zapłaczą!....
Najdroższym ci ustom gorzki ten smak chleba,
Żal spędza smutnego z posłania:
Odyssej twój pragnie Itaki swej nieba,
Serc swoich mu trzeba kochania!....
Niech zatem pilnuje go oko dziewicy,
Wybrzeża morskiego straż trzyma....
Lecz ona gdzieś znika w samotnej świetlicy,
I krosien, czółenka się ima.
Utkała nieszczęsna rąk własnych posługą
Ten żagiel płynącej w świat łodzi.
Milczących łez rosą bieliła go długo,
Lecz teraz już głośno zawodzi:
—Dlaczegoś odjechał! i uniósł na wieki
Twą postać, nad wszystko mi drogą?....
Cóż znajdziesz lepszego w twej ziemi dalekiej,
Czyż silniej tam kochać cię mogą?...
Tu życie twe cichą płynęłoby strugą,
Gdzie nic się nie miota, nie ciska....
Do śmierci ci wierną i siostrą, i sługą
U twegobym była ogniska....
A teraz wzburzone gdzieś niosą cię fale,
Pierś morza już wzdyma bóg gniewny....
Straszliwym się mocom wydałeś zuchwale,
Ścigając ideał niepewny....
Zgubnego żywiołu, ty boże okrutny!
Czyż litość nie znana ci zgoła?....

---

[1]) Legenda grecka ugrupowała koło Odysseja, albo inaczej Ulisesa, króla wyspy Itaki, dziwnie piękne postacie kobiet. Najpierw występuje żona jego Penelopa i jest to wierność małżonki, która czuwa samotnie (20 lat) u ogniska domowego; jest to głęboka miłość poślubionej, która lata długie chowa pamięć nieobecnego. Gdy Odyssej przez gniew Boga mórz, Posejdona (Neptun) obłąkał się w drodze z pod Troi, przypuszczano śmierć niepowracającego, i liczni zalotnicy wystąpili do ręki wdowy, aż przemocą ich nękana uciekła się do podstępu. Przyrzekła uczynić wybór, skoro tylko wywiąże się z ostatniego obowiązku małżonki i utka szatę pogrzebową dla sędziwego ojca mężowskiego, Laerta, lecz gdy dzień cały pilnie pracowała u krosien, w noc każdą pruła tajemnie robotę dnia przeszłego.

Następnie zjawia się w pół bogini, w pół ziemianka, Kalipso. Rozkochana w królewskim tułaczu daje mu prócz serca nieśmiertelność i młodość wieczną, którą sama posiada, lecz gdy Odyssej tęskni i rozżaloną myślą z czarownie pięknej wyspy ucieka, Kalipso wyprawia go sama. Niewymownie wzruszającym jest obraz tkliwości, z jaką kochająca wyprawia od siebie ukochanego, jak mu towarzyszy przy robocie tratwy, mającej go unieść na morze. Ale najwdzięczniejszą dla poety postacią jest Nauzikaa, córka króla Feaków Alkinoja i Arety, którą Homer przedstawia u królewskiego ogniska przędzącą wełnę purpurową. Nauzikaa niewinna dziewica, pokochała też króla tułacza—pokochała za wielkość, męztwo i nieszczęście. Niemniej tkliwa od nieśmiertelnej tkliwością niewieściego uczucia, staje się od niej większą przez ofiarę. Pożegnawszy Odysseja smętną prośbą, aby w ojczyznie pamiętał o tych, których pozostawił za sobą, umiera dla niego jako ofiara przebłagalna. Taką jest Nauzikaa Sofoklesa.

On piękny i dobry, on tkliwy i smutny,
A blask ma wielkości u czoła....
Nie podły tak zwalcza Fortuny wyroki,
Z przeznaczeń pasuje się mocą.
Z miłości swej świętej cel zrobił wysoki,
Czy bogi mu czoło zgruchocą?....
Gdy przecież był ongi grzech jakiś i kara
Mieć musi rozpłaty godzinę,
Gdy trzeba ofiary—ja jestem ofiarą!
Bohater niech wytrwa—ja ginę!!!
Cień mignął się biały—plusnęło na fali!...
Lecz morze pierś prędko wygładza....
Wiatr nagle przycichnął, w zamglonej oddali
Łódź niesie łagodna już władza.
Toń lekko ją trąca, aż w słonej topieli
Ognisty wóz słońca zatonął.
Krąg wyszedł księżyca, toń srebrem się bieli,
Chłód czoło żeglarza owionął.
I puścił ster z ręki, sen słodkie swe maki
Wśród cichej mu rozsiał przyrody:
Śnił pola rodzinne, a w stronę Itaki
Prąd srebrnej unosił go wody.

M. Ilnicka.

ZARNICA

POWIEŚĆ BULGARSKA SPOŁCZESNA

PRZEZ

Teod. Tom. Jeża.

(Dalszy ciąg).

Grek jednak nie udał się wprost do domu Szumlańskiego. Zaszedł najprzód do kawiarni, wypił gorącej kawy filiżaneczkę i nargile wypalił. Paląc rozmyślał, zastygał niejako chwilami z cybuchem w ręku i ustami ruszał, jakby sam ze sobą prowadził rozmowę wewnętrzną. Z kawiarni poszedł do sklepu korzennego, gdzie wychylił szklaneczkę mastyki (wódka żywicą zaprawna) i zjadł migdałów kilka. Zaszedł następnie do siebie.

Pomieszkanie Kir-Michałakiego składało się ze sklepu na front wysuniętego i z izb kilku, z których dwie na dole, reszta na piętrze. Przy domu ani zagrody, ani ogrodzenia, pomimo, że się z tyłu znajdowała stajenka na parę koni. W domu nieład i nieczystość, pomimo matki starej i siostry niemłodej po wdowiemu wyglądającej, któreby porządek utrzymać mogły. Kobiety zajmowały piętro; Kir-Michałaki z bratem mieszkał na dole; za salon służył mu sklep bokszami i tytoniem krajanym zapełniony; sypiał w izbie przybocznej, na skrzyni długiej, okutej i materacem słomianym przykrytej. Materace i poduszki powlekał perkalik w kwiaty, podarty i brudny. Kilka stołków drewnianych, stół koszlawy i mebel mający kształt kanapy dopełniały umeblowania izby sypialnej, w której oprócz tego, stał w kącie worek z jęczmieniem a pod jedną ze ścian leżały siodła, uzdy i munsztuki z żelaziwem okrytem rdzą dawną. Skrzynia, na której Kir-Michałaki sypiał, pełniła funkcyę kassy, przechowującej nie tylko pieniądze, lecz i wszelkie kosztowności, tak w odzieży jak w klejnotach, zrzucone tam w nieładzie i przycisnięte z góry wiekiem na kłódkę zamykanem.

Kir Michałaki zastał brata tytoń krającego. Okiem z ukosa rzucił, zatrzymał się i ofuknął:

— Drobniej!... drobniej!... nie wiesz, że to latakie? Przyciskaj mocno i posuwaj powoli!... Koniom jęczmień dawałeś?...

— Nie jeszcze.

— Łotrze!—krzyknął Kir-Michałaki. Pamiętasz o tem tylko, żebyś się sam nażarł!...

Chłopiec robotę w tej chwili rzucił i porwał z za drzwi *trajstry* (torby obroczne), które mierzonym garściami jęczmieniem napełniać począł.

Za drzwiami mignęła się postać kobieca w czarnej odzieży, słuszna i chuda.

— Włóczysz się jak mara!—zawołał Kir-Michałaki.—Czegoś zlazła!... Czemu mi się pod oczy nawijasz!...

Postać westchnęła westchnieniem jękliwem i odwróciła się.

— Słuchajno!... Niech tu stara znijdzie, mam z nią pomówić a nie chcę do niej się drapać.

Postać niewieścia zniknęła. Kir Michałaki wszedł do izby sypialnej, rzucił się na materace i położył się na wznak opierając głowę o zatłuszczoną poduszkę. Leżał tak z wlepionym w sufit wzrokiem przez chwilkę, gdy wsunęła się po cichu i stanęła obok niego kobieta stara, zżółkła, pomarszczona, godna ze wszech miar figurować w tej trójcy niewiast, którą się akcya Makbeta rozpoczyna. Kir Michałaki nie patrzał na nią. Kobieta stała, splotłszy na piersiach powleczone samą jeno skórą palce i ani słowem, ani chrząknięciem, ani ruchem nie zdradzając obecności swojej. Upłynęło tak czasu minut kilka. W końcu Kir-Michałaki odezwał się:

— Wszak byłaś młoda?....

— Byłam — odrzekła zapytana, głosem studenta odpowiadającego professorowi.

— I nadobna?...

— Byłam.

— Otaczali cię zalotnicy?...

— Otaczali.

— Czem, że cię ujmowali szczególnie?...

— Spojrzeniami i słowem.

— Jakże to?...

— W oczy mi patrzyli słodko i w słuch mi kładli wyrazy dobrane.

— Co za wyrazy?...

— Chwalby, obietnic i przysiąg....

— I tyś wierzyła?...

— Było mi miło.

— Aleś przecie uwierzyła?...

— Ojcu twemu który mi przysięgał, że świat dla mnie rajem uczyni.

— I nic, tylko przysięgał?...

— Dawał mi prezenta.

— Jakie?...

— Słodycze, frukta, kwiaty, klejnoty.

— Najbardziej podobały ci się?...

— Klejnoty: pierścienie, zausznice, naszyjniki, bransolety, nagłówki, łańcuchy, perły, korale.

— Znosił ci to i dawał?...

— Znosił i dawał.

— Więcej aniżeli inni?...

— Więcej.

— I dla tego, czy może dla czego innego, wolałaś go niż innych?...

— Nie dla czego innego, a dla tego. Potem mi wszystko odebrał.

W tem miejscu stara po raz pierwszy westchnęła.

Indagacya urwała się na tej odpowiedzi. Kir Michałaki zamilkł, po chwili machnął dłonią na odlew i kobieta wysunęła się z izby.

Po odejściu starej, tiutiundżi wstał, jednem ręki szarpnięciem zrzucił ze skrzyni materac, który na podłogę spadając wydał z siebie tuman kurzawy, otworzył kłódkę, podniósł wieko i rozglądać się począł we wnętrzu, przedstawiającem pozór istnego *bric-à-brac*. Co tam było! a raczej, czego tam nie było! Dołama i szalwary suto złotem szyte, epolety, ryngrafy, guziki, szczypce, łyżki, łyżeczki, podstawki różne, odłamki rozmaite, guziki, ordery, przedmioty jakieś zawinięte w szmatki i papier, pudełeczka, artykuły noszące na sobie cechę wyrobów europejskich, inne zdradzające pochodzenie azyatyckie, miedź, bronz, złoto, cyna, srebro, szkiełka, drogie kamienie, wszystko to pomieszane w kupę bezładną z pośród której wyglądały woreczki szpagatem starannie obwiązane, zawierające w sobie pieniądze. Grek stał nad otwartą skrzynią czas jakiś, jakby namyślając się. Po chwili usiadł bokiem na skraju i począł zwitki przeglądać. Wydobył jeden, rozwinął—był to kanak, wysadzany szmaragdami i drobnemi perełkami. Zwinął i rzucił. Wydobył drugi—brosza, w której świeciły opale i turkusy. Zwinął i rzucił. Trzeci—spinka dyamentowa. Wydobywał, rozwijał, zawijał i rzucał przedmiotów kilkanaście, aż natrafił na parę zausznic z koraliny na złocie osadzonej, które do kieszeni włożył, poczem skrzynię zamknął, materacem ją przykrył, kurz z odzieży ręką sobie otrzepał i do domu starego Szumlańskiego się udał.

Zamiar, który go sprowadzał, białemi, jak to mówią, szyty był nitkami.

Zaszedł najprzód do apteki, pozdrowił doktora i siadł na stołku.

Doktór proszki jakieś ważył, zsypywał i mieszał.

— Cóż mi powiesz nowego Kir-Michałaki?...

Grek głową pokiwał.

— Może ci co dolega?.. Może bym ci czem usłużyć mógł?...

— Co mi dolega, to dolega, a usługa może się tam w leku jakim znajduje.

Przyzwyczajony do mistycznego opisywania chorób przez zarnickich pacyentów, nie zdziwił się doktór odpowiedzi tiutiundżego.

— Żeby lek zadać, trzeba dolegliwość znać. Gdzie i co boli?...

— Nie wiem gdzie i co, wiem tylko, że boli.

— A!... Ale może my to jakoś poznamy.

Zsypał proszki do naczynia, z którego one w postaci lekarstwa wyjść miały i przystąpiwszy do Kir-Michałakiego, ujął go najprzód za puls, następnie przyłożył dłoń do czoła, potem mu kazał język pokazać, w ostatku opukał i osłuchał pierś i grzbiet. Grek poddawał się procederowi temu diagnostycznemu z uległością zupełną. Doktór skończył i odstępując dla powrócenia do przerwanego zajęcia, rzekł:

— Tyś, człowieku, zdrów jak lew.

Grek westchnął.

— Nie nadużywaj się jeno, nie dopuszczaj się zbytków w jadle, w napojach, a będziesz się cieszył długo zdrowiem.

— Pociecha taka!—odezwał się Kir-Michałaki ręką machnąwszy.

— Jedna z największych. Zdrowie to skarb, który, gdy szanowany, wystarczyć powinien na tak długo aż przyjdzie kres żywota naturalny.

— Bywa jednak tak, że człek czuje ochotę skarb ten dobrowolnie zniszczyć.

— Bywa — odrzekł doktór — gdy człek zwarjuje....

— Albo, gdy pokocha—podchwycił Grek.

Doktór spojrzał na niego przelotnie i uśmiechnął się do siebie. Tiutiundżi nie wyglądał wcale na człowieka usposobionego do oszalenia z miłości. Odrzekł więc:

— A, to co innego. Na chorobę tego rodzaju szukaj lekarstwa w pracy, która by ci umysł zajęła. Szaleją z kochania próżniacy tylko; ludzie zaś pracowici kochają, ale tem sobie zdrowia nie nadwerężają. Zajmij się czem. Wynajdź sobie zajęcie gustom swoim odpowiadające. Tyś przecie człek zamożny.

— A!..—westchnął Grek. Sypiam na klejnotach i pieniądzach, ale oddałbym wszystko.

— Nie czyń tego. Wyszukaj sobie raczej zajęcie jakieś pożyteczne.

— Jakie?...

— Ucz się. Gdybyś jeno zajrzał w tę głębię, co się nauką zowie, toby ci wnet z głowy kochanie wywietrzało.

— A takby zrobić nie można — zapytał tiutiundżi—kochanie zadowolnić i potem dopiero do zajęcia pożytecznego się wziąść?...

— Możnaby, jeśli się to zrobić da.

— Dałoby się zrobić; gdybyś mi pomógł... ty.

Wyżej rzekliśmy, że doktór przyzwyczajony był do mistycyzmu pacyentów swoich. Przyzwyczajonym on był także i do żądań dziwacznych, jakiemi go mieszkańcy Zarnicy zarzucali—żądań, pomiędzy któremi jednem z najpospolitszych było domaganie się interwencyi medycyny w sprawach miłosnych. Nie zadziwiło go przeto powiedzenie Greka. Z doświadczenia jednak wiedział, że dyskussya w tej materji nie doprowadziłaby do niczego. Uśmiechnął się więc jeno, zamilkł i pilnie coś w naczyniu porcelanowem szklanym tłuczkiem rozcierał.

— Dopomóż mi, wynagrodzę.

Doktór nie odpowiadał.

— Pójdę z wami *barabar*.

Doktór bystro spojrzał Grekowi w oczy, snadź jednak nie wyczytał w nich nic ciekawego bo, nie przerywając sobie zajęcia, głosu nie zabierał.

— Dopomóż mi, żałować nie będziesz.

— Mówiłem już razy tyle, że na choroby tego rodzaju lekarstw aptecznych niema.

— Tu nie chodzi o lekarstwa apteczne.

— O jakież?...

— O jakie... hm... O pomoc.

— Pomocy nie odmawiam nikomu w rzeczach godziwych.

— Ot i dobrze. Weź-że to (tu, sięgnąwszy do kieszeni, wydobył zausznice kornalinowe i doktorowi je podał) i daj Elence, nie mówiąc jej od kogo.

— Co to znaczy?...

— Nic nie znaczy. Powiedziałeś, że nie odmawiasz pomocy w rzeczach godziwych i ja cię o takową proszę.

Znać było po doktorze, że się wzruszył wewnętrznie, lecz się powściągnął i spokojnie, oddając kolczyki Grekowi, odpowiedział:

— To rzecz nie moja. Ja się w to mieszać nie mogę. Elenka ma ojca i matkę

— Więc daj jej te zausznice przy ojcu albo przy matce... tylko zrób mi tę łaskę i nie powiadaj im od kogo one.

— Nie, Michałaki... nie.

— Sam przyznaj, że to rzecz godziwa.

— Tak. Niegodziwą nie jest... ale (zająknął się doktór i przez chwilkę szukał w myśli sposobu na wymówienie się zręczne od podejmowania się tej pomocy) ale... to rzecz nie moja. Szewc jest szewcem krawiec krawcem, lekarz lekarzem. Ja lekarz, swego pilnuję, mam na głowie i na sumieniu zdrowie ludzkie, ani chcę ani mogę bawić się rzeczami, co do mnie nie należą.

— Hm... wola twoja--rzekł Grek, usiłując wyrazom nadać brzmienie smutku. Przynajmniej, na przeszkodzie mi nie stawaj.

— Mnie nic do tego.

W tej chwili do apteki doszedł odgłos spiewu chóralnego. Greka to zastanowiło. Natężył słuch.

— Co to?—zapytał.

— E, nic. Żona moja dzieci bardzo lubi, dla tego zapewne, że sama ich nie ma. To też dzieci zejść się do niej musiały i śpiewają.

— Po bulgarsku?...

— Zdaje się.

Głosy były wyraźnie dziecinne, co, prawdę słów doktora potwierdzając, nie wzbudziło najmniejszego w Greku podejrzenia. Niewiasta i dzieci? — czy to co warte? Tylko śpiewanie po bulgarsku mogłoby być podciągnięte pod kategoryę złego zamiaru; lecz tiutiundżi miał czem innem myśl zaprzątniętą.

Negocyacya z doktorem nie powiodła się mu—takim przynajmniej był pozór. Doktór żądaniu odmówił. Nie wiadomo jednak, jaki mianowicie Kir-Michałaki miał cel, stawiając żądanie swoje. Przebiegłość grecka stała się przysłowiową. Pozornie wszakże, rzecz się nie powiodła: tiutiundżi całym sobą wyrażał smutek; wzdychał, krzywił się, ślinę połykał i w końcu głową wstrząsnąwszy, jakby go rozpacz rozpierała, pożegnał doktora.

Udał się do starego Szumlańskiego.

Stary przyjął go, jak zwykle, z tą uprzejmością, z jaką przyjmuje się nieprzyjaciela, którego za drzwi wytrącić nie można: uśmiechnął się do niego, jak mógł najdobroduszniej i o zdrowie zapytał.

— Eh! nie pytaj mnie o to.

— Pytam, abyś wiedział, że ci dobrze życzę.

— Pytaj o co innego.

— O cóż, naprzykład?...

— Naprzykład co słychać? *ne war, ne jok?*...

— No?...

— Słychać nie dobrze. Przygody różne powietrzem idą.

— Do kogo?...

— Czy ja wiem!.. Wiem tylko, że idą... a gdy idą, to przyjdą.

— Ta—odrzekł stary—człowiekowi każdemu wypada przygód się spodziewać w momencie każdym... Ani wiesz, jak co spadnie. Na gładkiej drodze nogę złamać można.

— To prawda, ale ja nie mówiłbym o przygodach zdybujących ludzi na gładkiej drodze. Może ja co wiem.

— Mówiłeś, że nie wiesz.

— Mówiłem... tak... to prawda, albowiem i wiem i nie wiem. Domyślam się.

— Czego?

— Tego, że przygoda nie jest daleką od nas. Może spotka ona ciebie, może którego z synów twoich, może zięcia twego.

— Dajesz mi zagadki, a ja za stary na rozwiązywanie zagadek. Mów, co jest a czego nie ma, to ja zrozumiem — rzekł starzec zaniepokojony nieco, usiłując jednak niepokój wewnętrzny pokryć pozorem obojętności zupełnej.

— Cóż ja ci powiem! Ot, mudir dopytywał się o was.

— Hm. Dopytywał się. To jego rzecz. On przecież mudirem od tego.

— Ono to tak. Zawsze jednak, temu lepiej na kogo tureckie nie zwraca się oko.

— A gdy się zwróci, jakaż na to rada?

— Oglądać się zawczasu za człowiekiem, co w przygodzie stanąć może.

Starzec ramionami ścisnął.

— Popatrz-no na mnie. Chciałbym, żebyś ty mnie nawskroś przejrzał, to nie powiedziałbyś, że Michałaki jest Turkowi duszą i ciałem zaprzedany.

— Czyś słyszał, żebym to mówił kiedy?

— No, no. Czy ja słyszał? Mniejsza jednak o to. Ja nie taki, żeby to... o... tego. Oto, słuchaj, powiem ci krótko: jeżeliby na was przygoda jaka spadła, przypomnij sobie o Michałakim tiutiundżiu. Wiesz, że tonący brzytwy się chwyta: niechże ja dla ciebie tą brzytwą będę. Ot, i dosyć.... Zresztą, jak Bóg da.

— Jak Bóg da—podchwycił stary.

— Cóż tam? Handel idzie?

— Bogu dzięki.

Grek rozmowę zwrócił na przedmioty zwyczajne i utrzymywał ją nadal w tej sferze, unikając starannie treści, którą początkowo wytoczył. Przeszedł następnie do interesów własnych, przedstawiając je w stanie jaknajświetniejszym. Wyraz „pariczki“, posiadający dla Bulgarów w ogóle ponętność ogromną, z ust mu nie schodził. Prawił o tysiącach, o dziesiątkach tysięcy, mówił o aspektach na przyszłość i o kręcącym się mu po głowie zamiarze, zaniechania handlu tytoniem i zostania *serafem* (bankierem). Nigdy się tak nie wynurzał. Starzec słuchał, potakiwał, miał się jednak na baczności, czekając na ostatnie słowo, które, zdawało mu się, w rodzaju konkluzyi jakiejś przyjść było powinno.

XII.

Sefer-pasza.

Przerzucimy się do Ruszczuku. Opisywać miasta nie będę, dałem już bowiem poprzednio opis onego pobieżny, kiedy działające w powieści naszej osoby wylądowały na grunt bulgarski. Nie o miasto zresztą nam chodzi, ale o ludzi, i to nie o wszystkich, ale o osobistości parę, postawionych na stanowisku, na którym ottomańska państwowa idea wyrażała się w całej czystości swojej. Boć istnieje przecie, ottomańska idea państwowa! Istnieją nawet statyści głębocy, którzy idei tej przyznają mistyczne jakieś a bardzo wysokie znaczenie, przypisując Turcyi zadanie do rozwiązania, missyę do spełnienia.

Zadanie do rozwiązania!?... Missya do spełnienia!?...

Założenie powieściowe ma swoją sferę, z której nie wychodząc zapraszam czytelnika do pałacu wielkorządcy, do tak zwanego *konaku*, budynku dużego, z obszernem podwórzem zabudowanem, na które wychodziły stajnie, strażnice, galerye i otwory jakieś okratowane. Podwórze roiło się ludem po największej części wojskowym. Nizamy, siedząc przykucnięci w cieniu, wzdłuż ściany stajennej, pończochy robili. Jestto zatrudnienie, miłe tureckiemu żołnierzowi, wskazanemu, dzięki idei państwowej ottomańskiej na wielkie próżniactwo. Niektórzy z nich fajki palili. Zaptije (policya) zatrudniali się dumaniem poważnem. Służba różnego rodzaju, płci wyłącznie męzkiej, kręciła się w kierunkach różnych, z poleceniami i bez poleceń, podążając do lub od drzwi wchodowych, prowadzących na galeryę a z galeryi do wnętrza pałacu. W bramie, przy strażnicach i przy drzwiach wchodowych stały szyldwachy z bronią na ramieniu. Pikieta konna, pod osobno dla niej urządzonym daszkiem, wyglądała jak posąg, przedstawiający jeźdzca z dobytym pałaszem.

Drzwi wchodowe prowadziły na galeryę; z galeryi wchodziło się do przedpokojów i komnat audyecyonalnych; izby osobne mieściły w sobie urzędników, officerów służbowych, officerów dyżurnych, adjutantów, dwór. Personal ten cały składał się w połowie z Turków, w połowie z Europejczyków; pełnili oni funkcye pochodni, służących do oświecania drogi, którą Turcya podąża do rozwiązania zadania... do spełnienia missyi.

Pochodni tego rodzaju znajdował się huk pod ręką wielkorządcy, administrującego bulgarskiem ejaletem.

Nie powiadam, kto mianowicie owym wielkorządcą był. Na początku samym powieści zastrzegłem się przeciwko uhistorycznianiu onej. Ktoby przeto w wielkorządcyBulgaryi widzieć chciał paszę tego lub owego, z tych co pomiędzy 1856 a 1873 rokiem to wysokie zajmowali stanowisko, tenby w grubym był błędzie. Nie podaję imion prawdziwych. Zastępuję je pseudonymami, trzymając się prawdziwości jedynie we względzie faktów ogólnych. Wielkorządcy, którego obraz skreślić zamierzam, nadaję imię pierwsze lepsze, co mi na myśl przychodzi. Niech się nazywa Sefer-paszą.

Jeden pasza figuruje już w powieści naszej. Z tym spotkamy się niebawem, a tymczasem zajmiemy się wyższym od niego w hierarchji urzędowej, mężem wybranym umyślnie w tym celu, ażeby godnie reprezentował Turcyę w punkcie, w którym ona, dzięki kolei żelaznej, w bezpośrednią z Zachodem wchodzi styczność. Mężem takim był właśnie Sefer pasza, najprzód dla tego, że piastował godność *muszira* (marszałka), co mu wielką nadawało powagę, powtóre dlatego, że byłto rzeczywiście człowiek, rozumiejący położenie Turcyi. Sefer-pasza wiedział, że postęp istotny wprowadzony do Turcyi, stałby się dla niej tą massą, którą wydrążone napełniają pociski, a która rozsadziłaby ją od pierwszej wypadkowo przez wiatr jakiś przyniesionej iskry. Wiedział jednak, że pomiędzy owocami postępu znajdują się takie, któreby się przydały państwu Ottomańskiemu, pod warunkiem, ażeby w wyłącznem rozporządzeniu rządu i pod jego znajdowały się kontrolą. Oceniał ważność dróg żelaznych statków parowych, telegrafów, w ogóle ułatwionej, przyśpieszonej komunikacyi; oceniał pojętność i rozumienie rzeczy w urzędnikach; rozumiał korzyść podniesienia dobrobytu krajowego; pojmował całe niebezpieczeństwo oświaty narodu i cała trudność okiełznywania pojęć z oświatą się wciskających. Sefer pasza słowem jednem był to Turek ucywilizowany, pragnący zużytkować postęp na wyłączną państwa korzyść; był to gospodarz racyonalny, uznający innowacye i korzyść z utrzymania inwentarza w dobrym stanie, pod warunkiem atoli, ażeby inwentarz ów był niczem innem, jeno bydłem. Warunek ten wydawał się mu koniecznym. W nim widział zbawienie Turcyi.

Sefer pasza liczył lat do pięćdziesięciu i wyobrażał sobą typ wysokiego tureckiego dostojnika: dobrej tuszy, niemałego wzrostu, poważnego oblicza; głowę przykrywał fezem małym ciemnoamarantowego koloru, węższym u góry niż u spodu, z blaszką złotą z wierzchu i z kutasem jedwabnym; nosił zwykle tunikę granatową ze złotemi guzikami, kamizelkę czarną atłasową, spodnie barwy sierści wielbłądziej, niekiedy na grzebt zarzucał chałat zielonkawy fioletową materyą podbity, lub też futerko z bilistków; mówił nigdy inaczej jak po turecku i w rozmowie z cudzoziemcami używał pośrednictwa dragomana, pomimo, że jak powiadano, znał dobrze języki obce. Dla cudzoziemców, pozostających w służbie tureckiej, miał pogardę najwyższą, którą pokazywać umiał wyszukaną grzecznością.

Z galeryi, jak powiedzieliśmy wyżej, wchodziło się do przedpokojów, a z tych do komnaty audyencyonalnej, nie obszernej i bez przepychu a po turecku urządzonej. Otaczał ją do koła dywan amarantową w drobny czarny deseń makatą pokryty. Ściany przyozdabiała rzeźba drewniana. Podłogę przykrywał kobierzec. Sufit stanowiła plecionka z drzewa ułożona misternie w kręgi i floresy. Obrazy, zwierciadła, stoły, krzesła, w ogóle meble jakiekolwiek świeciły nieobecnością absolutną, z wyjątkiem jednego stołka perłową macicą wysadzanego, który zwykle stał obok paszy. Okna osłaniały story i ciężkie firanki. Miejsce na którem pasza siadywał, znajdowało się w kącie i tem się odznaczało, że leżała na niem skóra niedźwiedzia o śnieżnie białym włosie, obstawiona poduszkami aksamitem powłóczonemi. Gdy Sefer pasza, nogi podgiąwszy, zasiadał na tej skórze, gdy się o poduszki oparł i przesuwając w palcach różaniec bursztynowy, okiem powiódł, to takim

jaśniał majestatem, że w najzuchwalszym budziło się mimowolne uczucie pokory.

Pasza udzielał posłuchań codziennie w godzinach przedpołudniowych. Dostać się do niego, nie było trudno. Należało w formie listu napisać podanie, które odbierał adjutant dyżurny, czytał i lokował postulanta w jednym z przedpokojów, póki kolej na niego nie przyszła. Do paszy wpuszczano po jednemu, poddanych tureckich samych, cudzoziemców w asystencyi drogomana. Adjutant poprzedzał i meldował. Pasza niekiedy kolej zmieniał, co zdarzało się w razie takim, gdy, pomiędzy żądającemi posłuchania, znalazł się ktoś, z kim chciał się widzieć prędzej aniżeli z innymi. Zdarzało się oraz, iż zażądał kogoś, co się w przedpokojach nie znajdował.

To ostatnie miało miejsce w chwili, w której czytelnika do pałacu wprowadzamy.

Postulantów zeszło się dużo. Przedpokoje były pełne. Wszystkie prawie klassy społeczne i różne narody miały tam przedstawicieli swoich, pomiędzy któremi znajdowały się figury poważne dostojników krajowych i zagranicznych, duchownych i świeckich, spekulantów, przemysłowców, specyalistów. Wszystko to czekało. Niektórzy, poważniejsi, zaczepiali oficerów służbowych powtarzanemi co chwila zapytaniami:

— Jego ekscellencya?...

— Nie wyszedł jeszcze.

— O której posłuchanie dawać raczy?

— O dziewiątej zwykle zaczyna.

Około dziewiątej objawił się ruch; oczekiwanie natężyło się; z za drzwi któremi się wchodziło wypadł dyżurny i rzucił służbowemu wyrazy:

— Zia-pasza!... Spiesz!... Jego ekscellencya wzywa jego ekscellencyę do siebie.

Służbowy pędem wybiegł. Sefer pasza udzielać począł posłuchań, przyjmując gości jednego po drugim i umiejąc każdego zbyć słówkiem grzecznem zaprawionem, jeżeli tego było potrzeba, otuchą lub zachętą.

Sprezentował mu się, naprzykład, pomiędzy innymi, ów lord młody, któregośmy widzieli na pokładzie parowca, a który powracał z odbytej na Wschodzie podróży. Za rekomendacyę służyła mu karta wizytowa ambasadora angielskiego w Konstantynolu. Pasza przyjął go z żywą uprzejmością, spytał o zdrowie ambasadora, o wrażenie podróżne. Lord niedorzeczności prawił. Pasza niedorzeczność każdą umiał w głębokie postrzeżenie zmienić, dodając w końcu, że postrzeżenia podobne, są to skarby, które....

— Depczą się nogami — podchwycił lord.

— Nie — odparł przedstawiciel idei tureckiej — podnosząc się, oddają na procenta i korzyść przynoszą.

Reprezentant jakiejś kompanii *anonyme* przedstawił mu projekt założenia jakicheś niemożliwych fabryk nad Dunajem.

— Bardzo dobrze — rzekł pasza, wysłuchawszy projektu cierpliwie.

— Kompania bierze na siebie ryzyko całe.

— Tem lepiej.

— Brak jej tylko jednej rzeczy.

— Jakiej?...

— Kapitału.

— Hm—odrzekł pasza. Drobiazg taki!...

— Kompania moja —przedstawiał reprezentant— ogromne odda krajowi usługi.

— Nie wątpię—wtrącił pasza.

— Ma zamiar, przy fabryce, założyć dla krajowców szkołę.

— Zakładanie szkół, jest staraniem rządu sułtana...

— Któremu Europa szczerze przyklaskuje i dlatego kompania moja pragnie się przyczynić.

— Piękne pragnienie!... Niechże pan kompanię upewni, że czekają ją względy jak największe, opieka i pomoc wszelka. Wpłynięcie kapitału, który, pewny jestem, kompania znajdzie, musi być i jest jak najbardziej pożądanem. Żegnam pana.

Podał mu rękę. Reprezentant, nic nie wskórawszy, pełen jednak otuchy, uścisnął z uszanowaniem dłoń jego ekscellencyi i wydalił się na palcach.

Zluzował go inżynier, proponujący wykopanie tunelu pod Dunajem, celem połączenia drogi żelaznej ruszczucko-warneńskiej z dziurdzewsko-bukaresztenską.

— Bardzo dobrze—rzekł pasza.

— Kapitału tylko.

— Drobiazg taki!...

— Potrzeba mi plan nakreślić.

— Nakreśl go pan. I owszem. Przyrzekam poprzeć ten pomysł, gdzie należy.

Inżynier wyszedł zadowolony, pomimo że nie uzyskał na plan zaliczki, która była jedynym bytności jego u paszy powodem.

Po załatwieniu sporej liczby takich i tym podobnych spraw, adjutant dyżurny zameldował:

— Zia pasza.

— Prosić.

W chwilkę później miejsce obok Sefera paszy zajął dawny nasz znajomy, pasażer w perłowem futerku, z którym mister Wayton pozwalał sobie na żarty nie koniecznie przyzwoite, potulny, słodki dygnitarz piastujący urząd nadzwyczajnego do spraw bulgarskich wysokiej porty komisarza. Perłowe futerko w domu zostawił i przedstawił się wielkorządcy w tunice wojskowej z krzywą w jaszczur oprawną szablą u boku, wahającą się na czerwonych jedwabnych sznurach. Wszedłszy zrzucił u proga pantofle, usiadłszy pozdrowił Sefer paszę salamami tureckiemi i przybrał postawę oczekiwania.

— Cóż słychać?—zagabnął Sefer pasza, dla zagajania rozmowy.

— Ty wiesz—odparł zapytany, łącząc w tej odpowiedzi grzeczność etykietalną, nie dozwalającą wiedzić o czemś, o czemby zwierzchnik nie wiedział, z istotą rzeczy, wyrażającą się w ten sposób, że Zia pasza o niczem nie słyszał.

— Wiem—rzekł Sefer pasza. Sprawy bulgarskie mam na pilnem baczeniu i chcę dziś właśnie z tobą o nich pomówić, ażeby ci dostarczyć nieco materyału do ułożenia memoryały dla wysokiej porty.

— *Effendim*!... podchwycił Zia pasza tonem wdzięczności.

— Inaczej trudnoby ci było co zrobić.

— Prawda...

— Siedzisz już w Ruszczuku rok i pół, jeżeli nie dłużej, i wiesz tyle co w pierwszej przybycia chwili.

— Prawda. Wprawdzie... słyszałem.

— O czem, naprzykład?...

— O buntowniczem usposobieniu w ogóle.

— Usłyszysz jeszcze o buntach—rzekł Sefer pasza tonem od niechcenia. Będziesz świadkiem egzekucyi. Będzie paru rozstrzelanych, kilku powieszonych, kilkudziesięciu po ojcowsku napomnianych i tyluż ułaskawionych.

Zia paszę zdumiły słowa te prorocze.

— Nie w tem jednak rzecz — ciągnął Sefer pasza. Są to sposoby policyjne prewentywne, mające na celu niedopuszczanie zdarzeń ważniejszych, minujących grunt bulgarski. Dostaję ze stron różnych sprawozdania, dające do myślenia. Bulgarzy jak się zdaje zaczynają myśleć.

Słowa ostatnie zafrasowały Zia paszę nie mniej, jak te same słowa zafrasowały Filipa II, gdy je usłyszał zastosowane do syna.

— My-śleć?—rzekł, zgłoskując powoli wyraz ten groźny.

— Tak, zaprawdę. To gorzej aniżeli ruch ów buntowniczy, mogący chwili każdej spłonąć w fajerwerku. Oni nie myśleli przez lat pięćset.

— Pięćset—powtórzył Zia pasza.

— I teraz, jak się zdaje, myśleć zaczynają.

— Zaczynają.

— Otrzymałem doniesienie jedno... z miasteczka (tu ręką pod poduszkę sięgnąwszy, wyjął z pod niej papier zapisany)... z miasteczka Zarnicy. Oto jest.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż 17 lutego 1874 r.

Śmierć kilku członków Akademii Francuzkiej, otworzyła nowym kandydatom świątynię nieśmiertelności. Krzesło nieboszczyka Mérimée dostało się profesorowi francuzkiego kollegium, p. de Lomenie. Saint René Taillandier, odziedziczył drugie po księdzu Gratry—a trzecie zajął Dumas, którego aspiracye w cichości serca, do tego krzesła, ostatnie głosowanie członków akademii zamieniło w rzeczywistość—miał on za sobą dwadzieścia kilka głosów. Złe języki rozpuściły wieść, że wysmagany w zeszłym roku przez Dumasa, akademik Cuvillier Fleury dostał z tego powodu czarnej melancholii.

Pochwalne mowy na cześć zmarłych akademików wygłaszane przez ich następców, są w blizkiem pokrewieństwie z portretami kobiecemi, które ile razy są dziełem prawdziwego artysty, wyglądają zwykle piękniej od oryginałów. Ale na to niema lekarstwa. Są to sfery, w których wszystko jest kowencyonalne. Pod tym względem akademia francuzka trzyma zawsze pierwsze miejsce, i podobna jest do cieplarni, gdzie obok najrzadszych kwiatów i krzewów, bogatych wonią lub przepychem barw i liści, mieszczą się ciężkie i kolczate aloesy, lub inne równie prozaiczne rośliny, dla tego jedynie, że należą do familii roślin uprzywilejowanych, lub że fantazya właściciela cieplarni dała im tam miejsce. Balzac był niezaprzeczenie głębszym myślicielem, człowiekiem wznioślejszego ducha i pisarzem pożyteczniejszym społeczeństwu niż Mérimée, a jako artysta nie ustępuje mu w niczem; koloryt nawet jego jest prawdziwszy — pomimo jednak tak świetnego talentu i położonych zasług, nie dostał się on do Akademii, a otworzyły się uprzejmie drzwi tej świątyni przed księciem d'Aumale.

Rzecz prosta, że następca p. Mérimée w pochwalnej mowie swojej musiał się trzymać konwencyonalnej akademickiej formy; wszakże przyznać należy, że wywiązał się ze swego zadania dość sumiennie. Portret Mérimego chociaż trochę pochlebiony, przedstawia jednak dość wiernie jego rysy—pan de Lomenie ma Rembrandtowską manierę, nie oszczędza farb, nakłada je obficie; każdy sztrych jest śmiały, ztąd ujemne strony Mérimego ledwo dotknięte, wystają z całości tak dobitnie, że prześlepić ich nie można.

Ściśnione ramki mojej korespondencyi nie pozwalają mi rozwodzić się nad szczegółami tej pochwalnej mowy. Zastąpię więc te szczegóły ogólnym rysem, tak charakteru jak i prac literackich Mérimego, podług mego własnego widzenia.

Duch Wolterowski, skomplikowany pewnego rodzaju Bajronizmem, stanowił główną cechę istoty moralnej Mérimego. Pomimo jednak tego wyłącznego nastroju nie miał on żadnej stałej tendencyi ani wytkniętego celu — miał tylko dwie maniery. W romantycznych jego utworach, główną rolę grała zawsze fantazya; żywa wyobraźnia nadawała im ten świetny koloryt który miał tyle uroku dla czytelników. Jedną z najcharakterystyczniejszych zalet tego pisarza jest jego styl treściwy, łatwy, elegancki, styl wyłączny, który nazwać można kokieteryą prostoty.

W przedmiotach historycznych i naukowych maniera jego miała zupełnie różną cechę. O ile był poetą i artystą na polu romantycznem, o tyle był realnym i poważnym na polu poszukiwań scientyficznych i historycznych,

Mérimée był niepospolitym erudytą—posiadał on gruntownie nie tylko języki i literaturę starożytności klasycznej, ale nadto wszystkie prawie nowożytne narzecza europejskie.

Odpowiedź dyrektora akademii francuzkiej, Juliusza Sandeau, na pochwalną mowę pana de Lomenie, była świetną—podniósł on jak mógł najwyżej Mérimégo, i zapoznał publiczność z jego następcą, któremu oddał zasłużoną pochwałę.

Na zakończenie tego ustępu, przytoczę tu autentyczną anegdotę o panu Mérimée, zacytowaną przez pana Sandeau; maluje ona człowieka. Pan Sandeau wyraził się o tem w następujący sposób:

Dnia 29 Lipca 1830 roku, w chwili kiedy walka miała się ku końcowi, jeden z tych zuchwałych chłopców ludowych, co zwykle biorą udział we wszystkich zbrojnych walkach ulicznych, strzelał sobie z lewego brzegu Sekwany do Luwru, który atakowano w tej chwili. Nie szczędził on prochu ani ołowiu, ale nie będąc oswojonym z użyciem broni palnej, pudłował ciągle. Pewien jegomość (Mérimée) który zabawiał się gawronieniem, widząc że strzelcowi braknie wprawy (touché de son inexperience) zbliżył się grzecznie do niego, wziął mu z rąk karabin, i po udzieleniu kilku praktycznych uwag, chcąc poprzeć naukę przykładem, zmierzył poważnie jednego ze strzelających

z okien Luwru szwajcarskiego gwardzistę a wycelowawszy jak należy wypalił, położył go trupem—po czem uczynny ów nieznajomy zwrócił z delikatną uprzejmością strzelbę właścicielowi. A kiedy ten, zdziwiony, jął go zachęcać do przeciągania tej zabawki. „Nie, odrzekł mu nieznajomy, *ce ne sont pas mes opinions.*“

Pochwałę księdza Gratry, wygłosił spadkobierca jego krzesła, p. St. René Taillandier. Chociaż nie pominął on żadnego szczegółu z życia Gratrego, i oddał należną cześć jego zasługom i pamięci, brakowało tej mowie głównej rzeczy: ciepła. Te same szczegóły, ścisle streszczone, podniesione i pełnem ożywione uczuciem, miałyby daleko większą doniosłość. Nie tyle tu rzecz szła o pisarza jak o człowieka, o chrześcianina, którego dusza była niewyczerpanem ogniskiem wiary i miłości, a życie całe nieustającym trudem i poświęceniem ku powszechnemu dobru.

Wieniec uwity z samych sztucznych kwiatów Akademickiej retoryki nie odpowiada wcale zasłudze takiego człowieka, jakim był Gratry. Aby odmalować wiernie jaki szczyt Alpejski, z effektem promieni wschodu lub zachodu, potrzeba koniecznie stanąć na jednym z przeciwległych najpodnioślejszych szczytów i schwycić z natury grę światła i cieni, które ruchomym wieńcem przepływają po jego śnieżnem czole—inaczej, malowidło będzie tylko dziełem wyobraźni, a nie odstrzeleniem świetnego obrazu przyrody. Pan St. René Taillandier, nie potrafił wznieść się wyżej nad pagórek rozumowy, ztąd koloryt jego malowidła jest fałszywy, a efekta optyczne chybione zupełnie.

Ksiądz Gratry był orłem duchownym, kąpiącym się ciągle w słonecznych promieniach. Ile razy czuł się znużonym dumał na szczytach — a kiedy spuszczał się w doliny, to na krwawą pelikanową pracę: karmił bliźnich wnętrznościami swojemi.

Kto niema orlich skrzydeł, na próżno będzie się kusił na śledzenie orlego lotu.—Dla szpaków i gilów, a nawet i dla złotych bażantów, podniebne szlaki zostaną na zawsze nieznanemi, a powiadania ich o orlim locie nietylko, że nie zachęcą nikogo do podobnej wędrówki, ale mogą stać się przyczyną, że słuchacze okrzyczą w końca orła za marzyciela lub szaleńca.

Każda prawda moralna, podana ludziom bez duchowego ognia, który ułatwia jej przyjęcie i zapłodnienie, nie idzie im na pożytek, ale przeciwnie, staje się pokusą lub chorobą.

Pisma księdza Gratry, są tem w porządku duchowym i religijnym, czem były proklamacye Bonapartego na wojska we Włoszech i w Egipcie. Książki jego nie są dysertacyami rozumowemi akademickiej formy, ani żadnym systematem spekulacyi filozoficznych, ale żywą cząstką jego duszy, słowami czynu powołującemi bliźnich do wprowadzenia w życie ewangelicznych zasad miłości, równości i braterstwa. Nie mówił on, *róbcie co mówię, a nie róbcie tego co robię;* ale wszędzie i zawsze nauczał słowem i przykładem.

Tym, którzy fundując się na literze słów Chrystusa „*Królestwo moje nie jest z tego świata*“ patrzą ciągle w niebo z założonemi na krzyż rękoma, lub też grzęzną coraz głębiej w błocie, ksiądz Gratry powtarzał ciągle: „Te słowa Chrystusa odnoszą się do ówczesnego pogańskiego świata. — Kto je tłómaczy inaczej jest albo ślepym duchowo, albo człowiekiem złej wiary. Jeśli w społeczeństwie chrześcijańskim nie króluje Chrystus, nasza w tem wina, bo powtarzając codziennie modlitwę, której nas nauczył: *Przyjdź królestwo twoje,* bądź wola twoja *na ziemi jak i w niebie,* w sprawach życia przeczymy czynem modlitwie. Ten tylko jest prawdziwym chrześcianinem, kto wierzy, że to królestwo przyjść musi, i kto szerzy je na ziemi, słowem i przykładem“.

Ksiądz Gratry uznawszy za rzecz możliwą i konieczną, pogodzenie nowoczesnego ducha z Chrystyanizmem, oddany był cały tej misyi.—Wszystko co mówił pisał lub czynił, szło w tem kierunku.

Badając przyczyny rewolucyjnych wstrząśnień we Francyi, dopytał się on nakoniec ich źródła i wykazał jakim sposobem można tę chorobę zamienić na zdrowie.

Przytoczę tu dosłownie ustęp z mowy pana Taillandier w tym przedmiocie.

„Społeczeństwo nasze, mówi p. Taillandier“, dręczone jest zdaniem, które przypomina Sfinxową próbę:—potrzeba koniecznie odgadnąć zagadkę, albo stać się pastwą potworu i być przez niego pożartym. Ksiądz Gratry naraził się na tę próbę, spojrzał śmiało w oczy rewolucyi i zapytał sam siebie czem ona jest? Czy bolesnem rodzeniem z którego mi się wyłoni lepsza era — czy też końcem wszech rzeczy, przez tryumf dzikiego barbarzyństwa? na to pytanie tak odpowiada:

„Wszystkie wielkie prądy powstające w łonie ludzkości, mają źródło swoje w Bogu. W miarę posuwania się ludzkości naprzód, Chrystus chce coraz silniejszą wolą, coraz pełniejszego rozwoju swobody dla ludzi i dla narodów, wedle sprawiedliwości i prawdy. Nie ulega to wątpliwości, że zły duch naszego wieku, psuje i kazi ciągle ruch idący od Boga—to też nie ruch sam zwalczać należy, ale zepsucie i przewrotność, które go przetwarzają. To jednak pewna, że póty nie zdołamy zwyciężyć złego, póki nie zjednoczymy się z ruchem, przeciw któremu walczyliśmy dotąd na ślepo“.

* * *

Zawiązało się w przeszłym roku w Paryżu stowarzyszenie złożone z osób duchownych i świeckich obojej płci, które przedsięwzięło organizowanie kółek ludowych (Cercles) w celu przyjścia w pomoc klasie wyrobniczej, moralnie i materyalnie. Sześć takich kółek istnieje już w Paryżu. — Duszą tego stowarzyszenia jest ksiądz Dulong de Rosny, marysta— D. 9 bieżącego miesiąca, miał on kazanie w kościele S. Augustyna na korzyść tego dobroczynnego dzieła. Ponieważ dzienniki zapowiedziały wcześnie to kazanie i ogłosiły zarazem że panna Belloca z teatru włoskiego, będzie śpiewać podczas nieszporów, cały więc piękny świat paryzki pospieszył na te nieszpory.

Ksiądz de Rosny jest średniego wieku, ale z daleka wygląda na starca.—Twarz jego blada, policzki zapadłe, przypominają jedną z tych ascetycznych średniowiecznych postaci, których rasa zaginęła już zupełnie, a zostały tylko ich wizerunki na płótnie, z jakiemi spotkać się można czasem w galeryach starych obrazów.

Kazanie księdza de Rosny było w zgodzie z jego postacią. Nie sadził się on na nerwowe efekta, jak się to często zdarza w podobnych razach tutejszym kaznodziejom — nie posługiwał się retoryczną florą—mówił jasno, treściwie, z uczuciem. — Nie było w mowie jego tych ucukrowanych słówek schlebiających miłości własnej słuchaczy, ani patetycznych wykrzykników — była tylko sama naga prawda i serce.

Wykazał on najprzód, że przyczyna złego, które wichrzy tutejszem społeczeństwem, leży w klasach kierujących.

„Na was, rzekł on, ciężył obowiązek opieki nad ludem, obowiązek dobrego przykładu i pierwszy krok do braterstwa, a nie daliście mu nigdy ani opieki, ani dobrego przykładu, ani braterstwa.—Jego sceptycyzm jest naszem dziełem. Nie kochacie go i dla tego on was nienawidzi, a nienawiść ta jest tem większą, że złocona rozpusta klas przewodniczących zapaliła w tych duszach, z których wygnano Boga, nie pohamowane żądze używania i zawiści. — Egoizm wasz wykopał tę straszną przepaść, która oddzieliła was od ludu — przepaści tej nie zapełnicie samym pieniężnym datkiem, choćbyście posiadali wszystkie skarby świata.—Dając złoto, trzeba dać razem duszę i serce—kto czyni inaczej, kłamie bliźniemu i Bogu—powtarzam więc wam: dacie im serca! jedyny to środek ratunku dla was, dla nich i dla Francyi“.

Były to twarde rzeczy dla arystokratycznych uszek nienawykłych do takiej mowy — ale w głosie kapłana były łzy, a w słowach taka prawda uczucia, taka siła przekonania, że otworzyły się wszystkie serca, a z niemi sakiewki.

Ksiądz de Rosny, u którego byłem nazajutrz, mówił mi, że kwesta po tym kazaniu przyniosła 15 tysięcy franków.

Jeden ze znakomitszych paryzkich weteranów pióra, Michelet, chory od dawna na serce, zakończył życie 9 b. m. w Hyères.

Był to pisarz niepospolitych zdolności i niezmordowany pracownik. Najważniejszem jego dziełem jest historya Francyi w 17 tomach, z których 6 pierwszych obejmujących epokę średniowieczną, obok wartości historycznej odznaczają się jeszcze znakomitą artystyczną formą i kolorytem pełnym poezyi i oryginalności. Do liczby najlepszych dzieł Micheleta zaliczyć także trzeba jego „*Précis de l'histoire moderne*“.

Michelet był dziwnym fenomenem literackim i stanowił wyjątek między wszystkimi ludźmi pióra należącymi do tej świetnej falangi, która zajaśniała tak żywym blaskiem za restauracyi i przez pół wieku prawie, była chlubą narodu. — Dojrzałość moralna Micheleta objawiła się w wiośnie jego życia — początkowe jego pisma noszą wybitną jej cechę: jest w nich zdrowy sąd, wiele poezyi, jasność i naturalność. — W jesieni zaś życia, kiedy należało się spodziewać, że talent jego podniesiony pracą i pełniejszym nastrojem, świetniej jeszcze zajaśnieje — stało się przeciwnie.—Dzieła jego pisane przed kilku lub kilkunastu laty, nie mogą iść w porównanie pod żadnym względem z temi, które napisał w początku swojej literackiej karyery.

W młodym wieku był on poważnym i głębokim pisarzem, na starość zaś talent jego wszedł w tę chorobliwą fazę duchowego rozkołysania, gdzie poloty zgorączkowanej wyobraźni trzymają miejsce loiki i zdrowego sądu, a umysł nie chce już znać ani granic, ani miary. Z takiego to nastroju urodziła się książka jego, pod tytułem „l'Amour“ i druga w tym samym guście „la Femme“. — Styl w tych dziełach nie jest to dawny styl Micheleta, jasny malowniczy i sprężysty—ale skakający, epileptyczny, ubiegający się za efektem.

Teraz słówko o człowieku.

Michelet był typem sprzeczności duchowych — kochał swój kraj, pragnął dobra i postępu ludzkości; łagodny, uprzejmy, nigdy nie wlazł nikomu w drogę—nie miał jednak żadnej religii, a był specyalnym wrogiem chrystyanizmu, który oskarżał o wszystkie klęski i nieszczęścia ludzkości. Ta anomalia duchowa jest rzeczą niepojętą w człowieku tak światłym, jakim był Michelet.—Ile razy dotknął on przedmiotu religijnego, wpadał w rodzaj opętania i nie pojmował najprostszych nawet rzeczy. Sceptyczny Rénan, który nie zgrzeszył nigdy górnym lotem, jest na polu religijnem orłem w porównaniu z Micheletem.

Cóż dziwnego, że pod kierunkiem takich filozofów Francya straciła swoje narodowe criterium i nie może dotąd go odzyskać.

* * *

Publiczność paryzka doczekała się prawdziwego dramatu. Nie jest to sztuka na miarę Dumasowych, ani jedna z tych reprezentacyi bulwarowych, gdzie maszynerya i karabinowe strzały grają główną rolę, a scena zasłana trupami wywołuje przerażenie. — Nie, dramat o którym mowa, jest w rodzaju tych, jakie grywano niegdyś przed 20 laty, kiedy autorowie tutejsi pojmowali zadanie sceny i pisywali dramaty nie dla oczów tylko i uszów publiczności, jak się to dziś dzieje, ale dla serca.

Pan d'Ennery, weteran dramatyczny, któremu zebrane niegdyś plany na tem polu pozwoliły używać przez ciąg wielu lat słodkiego odpoczynku, przebudził się nagle z długiego uśpienia i napisał dramat w 8 obrazach, pod tytułem „*Dwie sieroty*“ który odgrywa się obecnie w teatrze, Porte S. Martin.—Bolesne sytuacye, przez jakie autor przeprowadza te dwie sieroty, stanowią cały interes sztuki. Niema w niej innych efektów, nad te, które wypływają z wrażeń i uczuć doznawanych przez osoby odgrywające główną rolę. Sceniczna umiejętność p. d'Ennery, wsparta doskonałością gry aktorów, potrafiła tak żywo uwydatnić każdy szczegół, że żadna myśl, żadne uczucie nie jest stracone. — Cała gra duszy tych dwóch nieszczęśliwych istot, ściganych złym losem, któremi się publiczność zajmuje, jest jak na dłoni. — To też wzruszenie ogólne nie do opisania: mężczyźni sypią oklaski, damy płaczą, małe dziewczęta i chłopczyki beczą, jak barany, a krytycy dramatyczni kręcą się na krzesłach i sapią jak dziki, widać wyraźnie że są rozjuszeni. Śród tego ogólnego wzruszenia i potopu łez, jeden tylko człowiek promienieje radością i jak okrutny tyran pije z rozkoszą te łzy niewinne, a beczenie drobniejszego świata, sprawia mu efekt niebieskiej melodyi. Człowiekiem tym jest autor sztuki, d'Ennery. (Sztuka ta napisana niby w kollaboracyi z panem Cormon, prawdziwym jednak ojcem jej jest d'Ennery).

Offenbach jest niezaprzeczenie człowiekiem genialnym... do robienia pieniędzy.—Przenicował on Orfe-

usza (Orphée aux Enfers) i z rzeczy starej zrobił nową. Jest to feeryczna sztuka w 4 aktach i w 12 obrazach. Napróżno siliłbym się na opisanie splendoru scenicznej wystawy tej reprezentacyi.—Rzecz czarowna i zachwycająca.—Obraz następuje po obrazie, jeden piękniejszy od drugiego.—Okolica Tebańska z baletem pasterzy, otwiera reprezentacyę—w ślad za nią, balet snów i godzin—potem Olimp i wszystkie bóstwa mytologiczne. Jowisz jest w dobrym humorze i zabawia się kalamburami. Apoteoza apollińskiego rydwanu przepyszna — po niej następuje balet much dziwnie piękny.—Ogród Plutona i balet piekielny mają cechę wyłączną; Pluton wydał mi się przyzwoitszym od Jowisza—diablice zaś są widocznie wielce ucywilizowane. Cała ta jaskrawa piekielna banda wiruje szalonym ruchem śród potoków światła i najdziwniejsze wyprawia hece. Feerya ta ma niesłychane powodzenie i przyniesie z pewnością Offenbachowi grube pieniądze. Maestro ma ducha praktycznego.—Wie on, że dla Paryżanów balet jest najlepszą przynętą; uraczył więc publiczność po królewsku.—Kompozycya muzyczna może się udać lub nie, a efekt baletowy jest niechybny. O muzyce niema co mówić — do dawnej Maestro przyłatał dodatki.

Dienniki *dobrze-myślące*, zachęcają Francyę do tańcowania. Wedle nich, bale są konieczne — bez balów handel zachoruje na konsumpcyę, a piękny świat może dostać spleenu. Jakoż, redaktorowie tych dzienników nie ograniczając się na teoryi, zamierzyli poprzeć ją przykładem i udali się do naczelnych redaktorów innych dzienników w celu skłonienia ich do uorganizowania wspólnym kosztem olbrzymiego balu na dzień 15 marca, to jest na środopoście—rzecz ta jest teraz w robocie.—Bal odbędzie się w gmachu przemysłowym na polach Elizejskich, na cześć Mac-Mahona, który świetnym balem swoim w zeszłym miesiącu dał dobry początek.

T. R.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Don Carlos — tragedya Szyllera w 5 aktach (13 obrazach), przełożona na język polski przez A. S. i F. K.

Szyller w swoich „Listach o don Carlosie"' broniąc przeciw rozlicznym zarzutom charakteru markiza Pozy, powiada między innemi: „Na podobieństwo wszystkich wielkich duchów, urodził on się wśród ciemności i światła, jako zjawisko odosobnione i wydatne. Chwila w której się zjawił, jest chwilą zamięszania powszechnego, walki przesądów ze światłem rozumu" zasad i przekonań z jutrzenką prawdy. Po wszystkie czasy, ludzie niezwykli przychodzili na świat w takich chwilach!!.." Nieinaczej! Był to wiek XVI, niezwykły z wszelakich względów; pierwszy raz społeczne i religijne kwestye domagają się równouprawnienia, w ramach często namiętności i zbrodni, wypadków niezwyczajnych i oryginalnych osobistości. Myśl zdrzemnięta tak długo budzi się na nowo, wytwarzając dziwactwa życia, religii i polityki. Prawo dobijające się uznania, rozpoczęło walkę z uświęconem starem prawem i z dogmatem, który bronił się zacięcie, krwawo, często niesprawiedliwie, ale który wychodząc ze swego stanowiska, bronić się był powinien i bronić musiał. Szyller który chciał się przerzucić w tej epoce w dramat historyczny, jako chroniący go swą objektywnością od zbyt gorących wyskoków indywidualizmu, chciał na tej osnowie, poczerpniętej z najciekawszej fazy dziejów Hiszpanii, odzwierciadlić wzniosłe poglądy filozofa na ludzkość i potrzeby, jakich się ta gwałtownie dopomagała. Sam w pomienionych listach mówi znowu: „...Gdzie się mógł zrodzić ideał republiki rodu ludzkiego, potężnej tolerancyi i wolności sumienia, jeżeli nie właśnie w pobliżu takiego Filipa II i Inkwizycyi?" Ta też myśl popchnęła poetę do przemiany dramatu rodzinnego o jakim zrazu myślał, w dramat rozgrywający się na stopniach tronu, czyli do umieszczenia u tronu,—jak się ktoś słusznie wyraził:—„Intrygi i miłości". A figury historyczne takiego Filipa II, trzęsącego naówczas światem całym, młodego syna którego narzeczoną poślubił, jego samego wtrąciwszy do więzienia i takiego księcia Alby, a wszystko na tle powstania Niderlandów, nie nadająż się wybornie jako przedmiot wybornie tragiczny? Dwie te postacie, Filipa II i syna jego Don Carlosa zrobiwszy przedstawicielami dwóch krańcowych, wręcz sobie przeciwnych idei, musiały go w powziętym planie zachęcić i utwierdzić. Ale ciekawą jest rzeczą, że zrazu (aż do r. 1784) nie myślał jeszcze o Pozie. Dualizm ten przebija się jeszcze w późniejszej, trochę niejednolitej robocie, co wpłynęło poniekąd na niejednolitą charakterystykę Don Carlosa, a gdy nareszcie zabłysł w wyobraźni poety Poza, Carlos pójść musiał na plan drugi. *Pozę* który teraz przerósł w oczach jego inne postacie, nazywa sam *obywatelem świata*, kosmopolitą, bo jest on rzeczywiście w tragedyi, reformatorem ogarniającym ludzkość całą, świat idei postępowych, a więc przyszłość i nieskończoność. Streszczając tu mniej więcej nasze zdanie o tej tragedyi, wypowiedzanie w szerszem studyum (1), powtórzymy, o ile ramy pisma pozwalają. najzwięźlej główną charakterystykę działających w tragedyi osób.

Rodryg Poza, zaciągnąwszy dług wdzięczności względem Don Carlosa, przyrzeka mu odpłatę, gdy Carlos zostanie panem dwóch światów.

Hardy i dumny z natury, zostaje kawalerem malteńskim, czyli takim który nie jest związany żadnemi węzłami, ani rodzinnemi, ani państwowemi, ani kościelnemi. To go utwierdza w samowiedzy i przekonaniu o własnej sile, a świetne dlań okoliczności zewnętrzne, jako i kształcenie ducha samodzielne i podróże odbywane po całej Europie, jeszcze bardziej podnoszą wybitny i tak już jego indywidualizm. Powróciwszy do Hiszpanii, pragnąłby idee swoje przemienić w czyn, do czego najstosowniejsze wydają mu się podległe berłu Filipa Niderlandy. Przyjaźń z następcą tronu, ma posłużyć mu za szczebel; z samego już przywitania się jego z infantem poznać łatwo, że niewyłącznie przyjaźń kierować nim będzie, że przeto mylnym jest pogląd, uważający Pozę za uosobistnienie ideału przyjaźni. Jeżeli bowiem zachęca on miłość jego ku macosze i podnieca go do oporu przeciw ojcu, to czyni to jako entuzyasta humanitarny, poświęcający środki dla celu. Czyni on to, co prawda dopiero wtedy, gdy po rozmowie swej ze samym królem, przekonywa się stanowczo że go otwartą i szlachetną drogą, nie nakłoni do swych planów. W tem już apostolostwie jego, zdradza się poeta i ideolog, bo każąc temu bohaterowi poświęcać się dla ludzkości, pozwala mu nie robić nic dla *ludzi*;—co więcej, tych ludzi wikła w nieszczęście, bo oto podnieca syna przeciw ojcu, miłość jego kazirodczą popiera, o mało nie zabija księżniczki Eboli, słowem dla przyszłości wspaniałej, nie waha się posługiwać środkami wprost niemoralnemi.

Zostawiamy mu jednak nasze głębokie współczucie, bo widzimy iż działa z najszlachetniejszych pobudek, ale ten jego idealizm przesadny, nietrzeźwy, pozbawiony nawet konsekwencyi w ostatku, wypływa z najwewnętrzniejszej walki poety z samym sobą, której niemógł się pozbyć chcąc jej zapewnić zwycięztwo, a przecież uległ mimo chęci realizmowi, którego przedstawicielami Filip II z całą swą siłą brutalną. Z tego powodu i śmierć Pozy, nie wywołuje tego wzruszenia jakie poeta wytworzyć zamierzał, bo widz sądzi, że śmierci tej mógłby był uniknąć, że ona nie była koniecznością tragiczną. Poza albowiem, przedstawiony jak pół-bóg nieugięty i władający innymi, daje się wszakże zawikłać w intrygę i upada jak najzwyczajniejszy śmiertelnik.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

(Dokończenie).

Tu jest, a raczej mógłby być, koniec powieści przedstawiającej logiczny proces pewnych faktów: widzieliśmy w niej zboczenia od linii wychodzącej wprost z punktu wyobrażającego pewien obowiązek niewzruszony. Takie zakończenie zdaniem naszem byłoby najwłaściwsze w stosunku do moralnego założenia. Autorowi zdawało się że trzeba rzecz zaokrąglić pod artystycznym względem, i tem ją właśnie moralnie osłabił.

Dotąd rządziły u niego wypadkami prawa,—teraz przychodzi *deus ex machina*.—Wetter umiera nagle (jak widzimy, śmierci tu nie brakuje); że zaś Felicya jest dotąd zakochaną w Henryku, a Henryk wolnym, przeto od tego wypadku cała część książki przestaje być interesującą w zasadzie, bo czytelnik końca się dorozumiewa i ratować ją może tylko sam sposób obrazowania. Biegli autorowie jeśli się znajdą przypadkiem na tej pochyłości, że muszą dopowiadać to czego się czytelnik domyśla, kończą to zwykle w kilku frazesach, wskazują skinieniem:—p. Lubowski wyczerpuje do dna te chwile uśmiechu słońca po burzach, kiedy Felicya na łonie rodziny pozostałej, a złożonej z ojca, młodszego rodzeństwa i własnej córeczki, oddaje rękę Henrykowi.—Obrazowanie tych chwil jest żwawe, ani słowa, i nie bez zalet artystycznych; ale czy ono pozostaje w związku z naczelną zasadą? Bynajmniej.—Wszystkie dotychczasowe katastrofy były to wyniki jakiejś konieczności, greckiej *ananke*, płonki idące wprost z korzenia zaszczepionej rośliny: reakcya zaś jest tu skutkiem ślepego trafu, który mógł nastąpić albo nie, a jeżeli nie, to rzecz pozostałaby tam, gdzie my wskazujemy zakończenie: w samym środku ekspijacyi. Jeżeli więc autor chciał wykonać reakcyę, a być w zgodzie z dotychczasowem swojem postępowaniem, to powinien był wypadek zamienić na konieczność równą poprzednim, do czego nawet charakter Wettera nastręczał mu pewne ułatwienia.

Lecz i charakter ten, cały niedość się usprawiedliwia; są w nim dwa punkta, na które podobno autor nie mógłby odpowiedzieć zwycięzko. Nasamprzód, dlaczego Wetter, zimny i wyrachowany bogacz, tak zawzięcie usiłuje ożenić się z Felicyą, córką bankruta, wbrew jej pogardzie i wstrętowi ojca, kiedy go ani uczucie, ani interes, ani zgoła nic do tego nie skłania? Z tego co autor mówi, to tylko wysączyć można, że baron chciał postawić na swojem... ale my właśnie pytamy się, jaka pobudka tego uporu w człowieku interesowanym i nikczemnym? Powtóre, jeżeli już postawił na swojem, a chciał i rozumiał, że Felicyę przywiąże do siebie, dla czego przy całej przebiegłości jął się tak niedorzecznego środka, jak prześladowanie, w obec tak zwłaszcza dzielnego charakteru jakim był Felicyi, który mógł tylko dać się ująć wielkiej wspaniałomyślności? Jeżeli nie mógł się Wetter na nią zdobyć rzetelnie, mógł się wszelako zdobyć na jej komedyą, i utrzymać się w roli marszałka ze *Spekulanta* Korzeniowskiego, — którą doradzało mu najprostsze wyrachowanie. Tylko że wtedy nie byłoby powodu do katastrof, na których opiera się całe rozwinięcie myśli. Trudno to, widać, obmyśleć rzecz tak, ażeby wszystko co się dzieje w powieści było wynikiem tej niezaprzeczonej konieczności, która jest objawem pewnego psychicznego prawa, nie zaś skutkiem dowolności, których można postawić ile się podoba, a żadna mieć nie będzie znaczenia.

Ten sam mniej więcej zarzut moglibyśmy uczynić okoliczności decydującej o całym przebiegu sprawy, a związanej z charakterem Felicyi. Dziewica ta, rozumna i kochająca, na pierwszą usłyszaną plotkę i to z ust nieprzyjaciela Henryka, za odebranie listu który sam przez się niczego nie dowodził, odrazu potępia kochanka *zaocznie*, jemu i sobie wydzierając szczęście, przyspieszeniem ślubu z Wetterem. Zapytamy się autora, czy on, z ręką na sercu, przypuszcza, ażeby ktoś w chwili stanowiącej o doli całego życia nietylko swego ale i osób najdroższych sobie, zdolnym był postąpić tak nieoględnie, i to dla tak błahych pozorów? Czyż jest kochanka, któraby w taki sposób traktowała ukochanego, czyżby mogła wydawać nań wyrok przed wysłuchaniem? Autor wyjaśnienie tej rzeczy między dwojgiem zakochanych pozostawia aż do czasu owdowienia Felicyi: czyż to ono rzeczywiście nie było podobnem przed jej zamąż pójściem? Nie; w taki sposób nie można traktować najważniejszych momentów życia ludzkiego.

Gdybyśmy chcieli zażyć całej surowości sądu do jakiej ma prawo p. Lubowski, jako i sam na tem miejscu piszący wytrawną krytykę teatralną, powiedzielibyśmy że i charakter Henryka nie zadawalnia. Nie można mu tu czynić żadnych zarzutów szczegó-

---

(1) drukowanem w Bibl. war. z r. 1868. za m. Sierpień i Wrzesień.

łowych, wszędzie bowiem w pewnem położeniu przez autora postawiony, sprawia się dobrze jako człowiek. Ale te jego sprawy wciąż kręcą się około jednego tylko uczucia, wciąż go widzimy tylko uwijającego się między Felicyą i Zofią: to student na wakacyach. A gdzież jest obywatel? Wszak to on ma być przedstawicielem rozumnej a postępowej części społeczeństwa, wszyscy mu to przyznają, sympatyzują z nim, począwszy od autora; ale gdzież są jego obywatelskie czyny? W braku ich, musimy wierzyć na słowo, które gdzieś dopiero na ostatnich stronnicach ma się zamienić w czyn.

Lecz co już żadnemu zarzutowi nie ulega, to oboje Slizgalscy, a mianowicie ojciec. Tu życie i prawda kojarzą się z sobą w sposób zadawalniający wszelką krytykę; a toż samo rzec można o figurach podrzędnych szlachty, czy to ze strony śmieszności, serdeczności, czy zepsucia, uzupełniających obraz życia galicyjskiego. Żywioł germański jest zaledwie dotkniętym, a zamiast wplecenia go w proces powieściowy, autor daje jedyny tylko rozdział, opisujący dzieje przybłędy niemieckiego, który nędzny i umierający, przyjęty przez szlachcica, tak się potem umiał zawinąć z arendarzem, że szlachcica puścił z torbą, a sam zawładnął majątkiem. Historya ta o żmii rozgrzanej przez chłopa, dzielnie napisana,—ale jest tylko luźnym epizodem: artystyczność powieści nic na tem nie zyskała.

Tymczasem wszystko to, cośmy tu opowiedziawszy, tylą jeszcze uwag własnych obarczyli, jest dopiero częścią powieści, wprawdzie główną. Ale niech się czytelnik nie przeraża: reszty nie będziemy rozbierać tak szczegółowo. — Lecz i pominąć jej nie możemy, iżby nie zdawało się, że lekceważym to, co właśnie może ma najwięcej zalet, jako wykonanie.

Oto z powyższym procesem powieściowym styka się w pewnym punkcie wspomniany już przez nas książe Michał, mąż Zofii. Nie nasza rzecz wchodzić w to dla czego autor takiego sobie księcia wybrał, a nie innego, lecz jeżeli chciał wyrazić upadek wszystkiego, co się zwie ludzkiem, nie mógł wybrać lepszej postaci. Wyschły, znudzony, zakochany tylko w pieniądzu, ocknął się raz tylko książe przy podrażnieniu zmysłów. Tak on nas mało obchodzi, że anibyśmy o nim wspominali, gdyby nie przedmiot tego podniecenia, niejaka dziewczyna Marysia. Nie nastajemy, ażeby czytelniczki nasze koniecznie studyowały tę postać i stosunek jej do jego książęcej mości, ale autorowi winniśmy oddać sprawiedliwość że w osobie Marysi utworzył coś oryginalnie demonicznego, cos wielce żyjącego, a na wstyd nasz wyznać trzeba, coś, co jeżeli raz istnieje, to jak trucizna, nie przechodzi przez ustrój społeczny bez śladu. Wolelibyśmy nie spotykać się z takiemi obrazami, jakie tu w sposób jaskrawy i tętniący życiem podał p. Lubowski, ale skoro obrazy te zbyt często, niestety, pojawiają się w życiu, nie możemy winić autorów za ich reprodukowanie, zwłaszcza, gdy reprodukcya trzyma się w granicach oględnych.

Wspomniany tu lichwiarz Szmul Silberberg, także przedstawia widok dotkniętego palcem Nemezy. Ma on córkę, Gołdę, którą ukochał jak źrenicę oka i ukształcił wysoko. Ukształcenie to dopomogło jej do zakochania się w jednym z obdzieranych przez ojca, w chrześcijaninie, ale w wierutnym łotrze, który ją uprowadził za granicę i rzucił napół umarłą. Część ta, lubo ściślej od poprzedniej łączy się z biegiem treści głównej, ale obrobiona jest najsłabiej ze wszystkich, bez względu nawet na końcowy sens moralny, gdzie stary lichwiarz, ugodzony w samo serce, wyrzeka się lichwy i godzi z chrześcijanami, którzy mu w nieszczęściu okazali współczucie.

Nareszcie, autobiografia starego stryja Modlickiego nie ma żadnego związku z treścią tej powieści i mogłaby być bez nadwerężenia całości zupełnie z niej usuniętą, chociaż obejmuje znaczną część książki. Ale jest to epizod znaczący pod względem myśli i z poczuciem artystycznem opracowany, — a przedstawiający starcie się arystokracyi ze szlachtą na polu mezaliansu.

Zdaniem naszem trzy te części, któreśmy tu za margines wyjęli, są straconym materyałem z którego, przy stosownem obrobieniu, mogłyby się utworzyć trzy osobne powieści, a nawet ostatnia część jest prawie skończoną powieścią i jako osobny utwór ujśćby mogła. Nie wiem co spowodowało autora do pozbawienia się tej korzyści, a zwiększenia i tak dosyć chaotycznego materyału treści głównej. P. Lubowski dopiero zaczyna z powieścią występować przed front publiczności; możeby więc lepiej było ograniczać na początek treści a wypełniać je obrazami więcej skończonemi.

Nie możemy bowiem ukrywać przed nim, że obok obfitości pomysłu, wykonanie w wielu miejscach szwankuje. Oprócz wytkniętych już usterek, dodać musimy, że dyalogi, trylogi i różne polylogi, któremi zręcznie włada, są pożądanemi w powieści,—ale nie monologi, które są jej słabością i wykazują jakąś niemoc autora do przeprowadzenia w obrazie tego, co jakiś bohater rozważa sobie *in petto*. — Dalej jeszcze zauważyliśmy zbyt częste, bo może czterokrotne użycie takiego naprzykład środka, jak podsłuchiwanie, dla dowiedzenia się pewnej okoliczności ważny wpływ mającej na przebieg akcyi. Zbyt to tani i zużyty środek, ażeby go autor poważnie traktujący swój przedmiot używał, zwłaszcza w stosunku do poważnych ludzi.—To znowu tworzy autor jakieś nieprzypuszczalne niepodobieństwa, jak to np. że Gołda w najcięższym razie nie wie dokąd pisać do Modlickiego, by ją ratował, tak jak gdyby on nie miał domu; i powód tak nieusprawiedliwiony naraża ją prawie na utratę życia.—A jeszcze, oprócz tego wszystkiego musimy wyznać i to, że powieść niniejsza tak rozległa zamiarem i rozmiarem, a może i dla tego właśnie, wygląda na orkiestrę, której brak dyrektora coby nadawał motywom właściwe tempa i każdy instrument stosownie spożytkowywał, wyznaczając granice pomiędzy naczelnemi i pomocniczemi. Sceny wyższego znaczenia moralnego traktowane są tu częstokroć chłodniej niż jakieś podrzędne; osoby podrzędne, jak hrabia Zeno, wyborny typ światowego epikurejczyka, jaśniej wychodzą w scenach niż ważniejsze; efekta wszystkich razem scen, gdzie chodzi nieraz o sprawy głęboko wkraczające w dziedzinę społeczną, bledną tu obok tego artystycznego światła, jakiem autor obrzucił dzieje owej Marysi, zacząwszy od jej osoby aż do ostatecznego zwycięztwa nad mężem i nad księciem.

Surowo, powiadam, sądzimy utwór p. Lubowskiego, może zda się nawet komu, że za surowo, ale to nam zarazem miło jest przyznać, że pomimo wszystkiego co tu tak bezwzględnie wytykamy, powieść ta posiada jeszcze tyle warunków dodatnich, że o los jej jesteśmy spokojni.—Dzielimy przekonanie z autorem jej, który powiada: — „Społeczność znajduje się często w położeniu niebezpiecznem, z którego się jedynie ratować może poprawą, o ile to w ludzkiej mocy, *wszystkich swych jednostek*; poprawą otrząsającą z dawnych nałogów i grzechów, z przesądów i namiętności, a zarazem czujną bacznością na szkodliwe pierwiastki, wkradające się nieznacznie i podstępnie. Ktokolwiek ją wtedy ostrzega w ten lub ów sposób, ktokolwiek godłem „życie to walka“ przypomina jej że się znajduje *na pochyłości*, z której łatwo się stoczyć bez wieści i śladu, ten, o ile mi się zdaje, wart przynajmniej wysłuchania“.

Rzeczywiście, tej wartości nie zaprzeczamy p. Lubowskiemu, i daliśmy sami dowód, wysłuchawszy go sumiennie do końca, jak się o tem ze sprawozdania naszego przekonać może:—nie było to bez przyjemności z naszej strony, radzibyśmy ażeby było nie bez pożytku dla niego.

Kazimierz Kaszewski.

HISTORYA LITERATURY POLSKIEJ

PRZEZ

Leona Rogalskiego

Dzieło to obejmujące w 2 tomach (18 zeszytach)

Dzieje literatury polskiej do najnowszych czasów, wydawanem jest *zeszytami* obejmującemi 5 — 6 arkuszy w formacie duże 8-vo.

Zeszyty 1 – 3 są do nabycia.

Cena zeszytu kop. 30.

(przedpłata nie jest wymaganą)

Co dni 15 ukazuje się zeszyt

Zeszytów będzie ośmnaście.

Dnia 15 października r. b. dzieło będzie w zupełności wydanem i sprzedaż zeszytowa ustanie.

Osoby z prowincyi nadsyłające należytość wprost do wydawcy, kosztów przesyłki nie ponoszą.

Dzieło to jest do nabycia w księgarni M. Glücksberga (wydawcy) przy ulicy Krakowskie-Przedmieście w domu JW. hr. Krasińskiego Nr 411 (7 nowy) oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

M. Glücksberg
Księgarz-Wydawca.

Od Redakcyi.

W. L. Powieści pod tytułem: *Anna* i *Z Życia Maryli* drukowane nie będą.

W. D. E. *Fragment*, drukowany nie będzie.

W. Zn.... *Sen rozkoszy*, drukowany nie będzie.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dalszy ciąg powieści Middlemarch oraz Kamiennej Woli.

OD WYDAWCY.

Dla prenumeratorów pisma *„Bluszcz“* z dodatkiem dzieł **J. I. Kraszewskiego**, dołącza się do numeru dzisiejszego, tom LII ogólnego zbioru, to jest tom 2-gi powieści pod tytułem:

„KOMEDYANCI”

Powieści *J. I. Kraszewskiego* wychodzą tomami, a mianowicie 5 — 6 tomów kwartalnie. — Prenumerata wynosi dla prenumerujących *Bluszcz*, kwartalnie Rs **1** kop. **75**; — dla nieprenumerujących *Bluszczu* Rs. **2** kop. **50**.

Wydawnictwo to rozpoczęło się z dniem 1 października 1871 r.—Wyszło dotąd tomów pięćdziesiąt dwa.

TREŚĆ: **Konkurs.—Nausika** (poezya).—**Zarnica**, (dalszy ciąg), powieść bulgarska spółczesna, przez Teod. Tom. Jeża.—**Nowiny paryzkie**, przez T. R.—**Przegląd teatralny**, przez Edwarda Lubowskiego. — **Przegląd piśmienniczy**, (dokończenie), przez Kazimierza Kaszewskiego.—

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr. 20. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою 19 Февраля (3 Марта) 1874 г.